30-lecie polskiego Klubu Miłośników Żywego Słowa w Szwajcarii

Kiedy 6 grudnia 1986 roku w Pałacyku w dzielnicy Gellert w Bazylei odbyło się inaguracyjne spotkanie Klubu Miłośników Żywego Słowa założonego przez Barbarę Młynarską-Ahrens, którego pierwszym gościem był Gustaw Holoubek, Polską rządziła ostatnia ekipa odchodzącego ustroju. Dawno już minęła euforia "półtorarocznego karnawału Solidarności" skutecznie, jak się wydawało, stłumiona przez stan wojenny i represje wobec działaczy i sympatyków solidarnościowego ruchu domagających się zmian na lepsze.

Coraz więcej ludzi opuszczało kraj bez nadziei na szybki powrót. W tej sytuacji coraz większa rzesza Polaków usiłujących zbudować jakoś swoje nowe życie na obczyźnie chętnie korzystała z możliwości spotkania z polskimi artystami przybliżającymi im kulturę, którą zmuszeni byli zostawić.

Klub Basi Młynarskiej od samych jego początków skupiał Polaków pragnących kontaktów z kulturą polską obok kultury kraju, w którym przyszło im zamieszkać. Pielęgnowanie kultury polskiej na obcych ziemiach weszło Polakom w krew już w czasach, gdy Polska przestała istnieć jako autonomiczny kraj na mapie Europy. 123 lata rozbiorów, 5 lat okupacji niemieckiej i kolejne po niej lata z ograniczoną wolnością złożyły się na silne poczucie, że tożsamość polska to język, sztuka i kultura.

Pisarze, aktorzy, artyści, muzycy tworzący na ziemiach polskich lub jakkolwiek poczuwający się do związków z Polską to nasze dobro narodowe dokładające się do dorobku światowej kultury. Istniejące bez względu na to czy i w jakim stopniu Polska była zależna od politycznych zawirowań. Spotkania z ludźmi polskiej kultury w różnych miejscach w świecie należą do polskiej tradycji, działalność Basi Młynarskiej wpisuje się od 45 lat w tę tradycję.

W roku 2016 Klub Miłośników Żywego Słowa będący naturalnym przedłużeniem działalności Basi w Domu Polskim w Zurichu zamkniętym w roku 1986, obchodzi 30-lecie swojego istnienia [1]. Można więc bez żadnej przesady powiedzieć, że przeznaczeniem Basi było przybliżanie Polakom ze Szwajcarii polskiej kultury. Poświęciła temu zasadniczą część swojego życia. Mimo wszystkich przeszkód i trudności. Mimo krytyki i odczuwanego czasami zniechęcenia. Obok politycznych i gospodarczych zmian w Polsce, Europie, świecie, czasami sprzyjających, a czasami wręcz przeciwnie. *(ebs)*

- ebs.: Basiu, nam, publiczności Twojego Klubu, oferowałaś rezultaty swojej pracy, gotowe danie, smaczne, elegancko podane, tylko Ty wiesz, jak wyglądały kulisy przyjazdów tylu twórców kultury i sztuki, jak wyglądały przygotowania, trudności, przeciwieństwa, czy dziś, patrząc wstecz na te wszystkie lata uważasz, że warto było?

- Uważam, że to, co robię od 45 lat dla kultury polskiej w Szwajcarii, było i jest moją powinnością, moim obywatelskim obowiązkiem. Tak zostałam wychowana. Chciałabym móc należeć do "tego pięknego grona osób zawsze z sobą tożsamych…", jak powiedział o swojej żonie, wybitnej poetce Julii Hartwig - Artur Międzyrzecki.

- Czy jest coś, co zrobiłabyś inaczej lub wcale nie robiła?

- Mijający czas rozwiązywał sam piętrzące się wokół mnie problemy, a intuicja podpowiadała, że trzeba niezmiennie pozostać wierną sobie. Tzw. NICNIEROBIENIE, jest całkowicie sprzeczne z moim charakterem.

- W jaki sposób odczułaś zmiany polityczne w Europie, polską transformację, wejście Polski do EU, zmiany ekipy rządzących?

- Zachłysnęłam się wolnością. Radość z odzyskanej wolności przełożyłam na swój sposób działania, którego dewiza brzmiała: dobrze wykonywać swoje zadania. Nie zawieść nadziei we mnie pokładanych.

- Czy odczuwasz różnicę w traktowaniu twórców w PRL-u, Polsce lat 90. i Polsce XXI wieku? Jak byś ją opisała? Co jest lepiej a co gorzej z Twojego punktu widzenia?

- Twórcom w PRL-u usiłowano wmówić, że jak długo będą lojalni wobec władzy, tak długo włos im z głowy nie spadnie. Czuło się pozorną życzliwość władz do momentu, w którym nie poczuła się zagrożona. Szalała cenzura. To pamiętam aż za dobrze, bo mój brat był stale pod jej obstrzałem. Podobnie było w teatrze. Ten niepokój przed każdą kolejną premierą, kiedy na próbie generalnej zasiadali dziwni panowie, z którymi później kierownik literacki teatru i dyrektor artystyczny teatru wiedli długie dysputy. Po ich zakończeniu informowano nas - zespół aktorski teatru, że nastąpiły skreślenia w tekście. Zdarzało się, że któryś z aktorów tracił w związku z tym rolę w spektaklu. Lata 90-te minionego stulecia i czas obecny są zdominowane przez komercjalizację wszystkich środków przekazu. Bronią się jeszcze nieliczne sceny, które dbają o swój zespół artystyczny. Aktorzy poczuli, że przyszedł moment, w którym mogą zaistnieć, nieważne za jaką cenę. Liczy się pieniądz, który napędzają seriale i reklamy. Cierpi na tym jakość prezentowanego aktorstwa. To mnie boli... Kto dzisiaj (poza wyjątkami), potrafi mówić wiersz? Skończył się idealizm i zachwyt dla SZTUKI, w których wyrosłam w cieniu wielkich indywidualności artystycznych. Teraz liczą się: siła przebicia i kasa...

- Przez Twój Klub przewinęła się cała kulturalna elita Polski do i od 1989 roku. Wielu z tych niewykłych ludzi już nie żyje, miałaś możność obcowania z nimi, dałaś nam, członkom i sympatykom Klubu możność zetknięcia się z nimi. Których wspominasz najchętniej? Czy są tacy, których nie udało Ci się zaprosić?

- Zacznę od końca. Nie udało mi się zaprosić Jerzego Waldorffa - wybitnego publicysty, animatora kultury polskiej, a nade wszystko wspaniałego gawędziarza i komentatora czasów, w których żył. Miałam szczęście poznać Go osobiście i słuchać fascynujących opowieści, które snuł w Radziejowickim parku, podczas wakacji. Nie udało mi się zaprosić Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej - wspaniałej aktorki tetralnej i kabaretowej w okresie międzywojennym, współtwórczynię światowej sławy zespołu pieśni i tańca "Mazowsze", krórą znałam i podziwiałam. Ta wszechstronnie utalentowana artystka jest do dzisiaj moim niedoścignionym wzorem umiejętności artystycznych i organizacyjnych. Prowadziłam rozmowy z takimi niezapomnianymi aktorkami jak Nina Andrycz czy Zofia Rysiówna, ale upływający czas zdecydował inaczej. Rozmowy z Krzysztofem Kieślowskim też spełzły na niczym. Kogo wspominam najchętniej? Gustawa Holoubka, Andrzeja Łapickiego, Tadeusza Łomnickiego, którzy pozwolili mi uwierzyć w siebie, służyli zawsze mądrą radą i dodawali otuchy w chwilach zwątpienia. Mojego brata Wojtka Młynarskiego, który dbał o mój rozwój intelektualny i wyostrzył umiejętność reagowania na bezguście artystyczne. Ryszarda Kapuścińskiego, który jak mało kto potrafił słuchać. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, jednego z najskromniejszych i najbardziej czarujących ludzi, jakich było mi dane poznać. Podobnie jak profesora Aleksandera Gieysztora i profesora Władysława Bartoszewskiego. Artystów krakowskich: Annę Seniuk, Annę Szałapak i Grzegorza Turnaua... I tak mogłabym wymieniać bez końca. Nie wolno zapominać, że 9 kwietnia 2016 roku Klub Miłośników Żywego Słowa zaprezentuje 149 spektakl. Cechą dominującą wszystkich spotkań i spektakli jest ich niepowtarzalność i różnorodność w doborze wykonawców.

- Czy masz jakieś wspomnienia zabawne z tych wizyt?

- Większość z nas - widzów czekała na tzw. część prywatną spotkań z zaproszonymi gośćmi. I tak pamiętam popisy kunsztu kabaretowego po wspólnie zjedzonej kolacji, których mistrzami byli dwaj Wiesiowie: Gołas i Michnikowski. Jacek Wójcicki po kolacji w restauracji Santa Lucia żegnając się z jej uczestnikami wspiął się na krzesło i odśpiewał po włosku pieśń "Santa Lucia", wzbudzając entuzjazm zebranych. Anna Szałapak i Konrad Mastyło po niezwykłym spektaklu pt. "Ucisz serce..." nie dali się

długo prosić i zabrali wszystkich zebranych wokół fortepianu do... Piwnicy pod Baranami, którą wyczarowali "na poczekaniu".

- A dramatyczne?

- Zawód sprawił mi dyrektor Adam Hanuszkiewicz, który po prostu nie przyleciał na umówione od dawna spotkanie z publicznością. Pamiętam moje poczucie bezradności na lotnisku w Zürichu i rozmowę telefoniczmą, w której dosyć apodyktycznie tłumaczył się mówiąc, że jest przeziębiony i... koniec. Nie dałam za wygraną i w ciągu 24 godzin sprowadziłam autorkę "Czarnego ptasiora" - Joannę Siedlecką. Podobnie było, kiedy Krzysztof Piesiewicz zawiadomił mnie, że nie przyleci, bo jest chory (przyjechał w innym terminie). W takich chwilach adrenalina sięga zenitu. Na szczęście zawsze czuwają dobre duchy... Musiałam też raz odwołać spektakl, kiedy "zadymił" wulkan i wszystkie loty zostały odwołane. A co przede mną? A któż to wie?...

- Czy sądzisz, że Twoi znakomici goście zabrali ze sobą coś trwałego, co z kolei mogli przekazać Polsce?

- Na przestrzeni mijających 30 lat działalności Klubu Miłośników Żywego Słowa najwięcej zabrali "na drogę" ci z gości, którzy odwiedzali Klub w latach 1986-1989. To były gorzkie lata dla kultury wysokiej i dla jej twórców. Pod skrzydłami Klubu znaleźli poczucie bezpieczeństwa i poczuli się dowartościowani, otoczeni szczerym uznaniem i miłością. Wielokrotnie słyszałam to z ich ust. Wpisy do ksiąg pamiątkowych z tamtych lat świadczą najlepiej o tym "w jakiej sprawie" do nas przyjeżdżali. Na pewno nie ze względów finansowych. Ich opinie szerzone w środowisku artystycznym po powrocie ze Szwajcarii, przygotowały grunt dla późniejszej działalności Klubu.

- Choć Klub prowadzisz przez te wszystkie lata sama, masz wokół siebie ludzi chętnych do pomocy, niektórzy są Ci wierni od samych początków, inni przyłączyli w czasie trwania działalności Klubu, komu chciałabyś podziękować?

- Przede wszystkim dziękuję Rodzinie Klubowej za to, że od lat wiernie trwa przy mnie. Telefonami, listami, mailami, rozmowami wspiera i buduje razem ze mną naszą "małą Rzeczpospolitą artystyczną". Nie wyobrażam sobie już życia bez tej "rodziny, rodziny, rodziny, ach rodziny...", jak śpiewali Starsi Panowie.

Dziękuję panu Prezesowi Jerzemu Czubakowi - wielkiemu mecenasowi kultury wysokiej, że pozwolił Klubowi tak pięknie rozkwitnąć przez ostatnie lata.
Dziękuję Firmie Amcor-Łódź-Polska, której prezesem jest pan Jerzy Czubak za objęcie opieką finansową Klubu Miłośników Żywego Słowa.
Dziękuję Ewie Felippi-Metelskiej za wykreowanie i opiekę nad stroną internetową: www.slowoimuzyka.ch
Dziękuję panom: Andrzejowi Nurkowskiemu i Mirosławowi Manuszewskiemu za opiekę akustyczno-techniczną spotkań i spektakli.
Dziękuję sposorom i darczyńcom, którzy wymienieni są na stronie Klubowej.
Dziękuję wszystkim, którzy spieszą z pomocą przy organizacji spotkań Klubowych.
Dziękuję autorkom recenzji i komentarzy paniom: Barbarze Tschopp i Izabeli Burger, oraz oczywiście Tobie, Elżuniu.

- A ja dziękuję Ci Basiu za rozmowę.

* *

A wydawać by się mogło, że to zaledwie wczoraj, gdy Basia Młynarska opowiadała mi - dla naszego polskiego pisma "Nasza Gazetka" (nr 8, grudzień 1996 i nr 1, styczeń-luty 1997) prowadzonego przez żyjącego jeszcze wtedy Tadeusza Wojnarskiego - o swojej działalności z okazji dziesięciolecia klubu:

Często pytają mnie ci, którzy chcieliby się do Klubu zapisać, czy inni są w Klubie ze snobizmu. Odpowiadam na to, że prawdopodobnie w wielu wypadkach tak, tylko że jeżeli jest to snobizm zdrowy, budujący, snobizm, na którym się wiele zyskuje przez fakt obcowania i ze znakomitą polszczyzną, i z ciekawymi bardzo prelegentami, z wybitnymi spektaklami, to, proszę bardzo, ja mogę się pod tym podpisać i powiedzieć, że pierwsza jestem snobką. Snobką, podkreślam, kultury wysokiej.

Uważam poza tym, że jakakolwiek działalność na tej niwie, na niwie kultury polskiej, kultury polskiej dla Polaków za granicą, lub, jeszcze piękniej, powtórzywszy za Zofią Kucówną, pracy w "Małych Rzeczpospolitych", jest potrzebna /.../

...u nas się dzieją wielkie rzeczy i wielkie wydarzenia artystyczne, bo jeżeli pomyśleć, że udało nam się tu, w Szwajcarii, w kręgu naszego Klubu i w kręgu małej sceny teatru w Baden, której to scenie nadal patronuję i jak długo będę mogła, będę jej wierna, na tejże małej scenie, w małym byłym spichlerzu na 140 osób, w malutkim, niedaleko Zurichu malowniczo położonym kurorcie, daje swoją prapremierę recitalową aktor, artysta tej klasy, co Wiesław Michnikowski. Nikt w Polsce nie wpadł na pomysł, żeby Wiesławowi Michnikowskiemu zrobić recital! Można go tylko porównywać z komikami najwyższej klasy światowej. Mamy bez przerwy u nas samych Olivierów.

A recital Ireny Kwiatkowskiej? Wielkiej, wielkiej damy polskiego kabaretu, polskiej sceny komediowej, wybitnej artystki, od której mogłyby się całe pokolenia aktorów uczyć, jak się tę sztukę uprawia. I właśnie ona, w naszym Klubie, w Oberfricku, w ex-młynie, dała nadzwyczajny wprost recital. I to się wszystko dzieje... gdzie? W grupie zakochanych w kulturze polskiej Polaków żyjacych w Szwajcarii. A dlaczego nie w Polsce? Dlaczego nikt w Polsce nie wpadł na pomysł, żeby artystom tej miary zrobić recital?

U mnie również miała swoją wielką premierę Teresa Budzisz-Krzyżanowska z niebywałym wprost recitalem, z popisem wszystkich swoich możliwości i estradowych, i teatralnych, recytatorskich a nawet krasomówczych. Uważam, że to jest pomysł, bo nie stać nas na pokazywanie pełnych wieloobsadowych spektakli. Trzeba ocalić od zapomnienia nasze wielkości. W Polsce zaczął ten cykl bardzo ciekawie Krzysztof Jasiński w Teatrze Stu. Przyjmuję do wiadomości każdą krytykę, jeżeli jest to krytyka konstruktywna, budująca, która mi uświadamia, że coś można zrobić inaczej, lepiej.

Cały szereg listów, telefonów, które dostaję, daje mi do myślenia, aha, w następnym sezonie trzeba będzie jeszcze to i to zmienić, żeby bilans był pozytywny. Wszystkich nie zadowolisz, ale żeby chociaż* en gros *wypadł bilans pozytywny. Na tym mi zależy. Staram się, żeby tak było. Zawsze mówię, proszę bardzo, jeżeli nie podoba się wam, co robię, to spróbujcie zaproponować swoją wersję, ale zróbcie coś! Zróbcie coś nie krytykując, dlatego, że taka krytyka dla osoby, która działa, jest szalenie niszcząca.

Tymczasem w Polsce jest tak, i to mnie bardzo boli, że zaczyna brakować tej pasji, potrzebnej do tego, żeby artyści wybitni mieli swoją małą scenę, kawiarnię, nie wiem... Gdybym była w Polsce, natychmiast bym utworzyła takie miejsce, gdzie Oni by mieli choć raz w tygodniu, ciągle ktoś inny, swój popis mistrzowski, gdzie by się usłyszało artystkę taką jak Teresa Budzisz-Krzyżanowska deklamująca na przykład Jasnorzewską-Pawlikowską. Nikt tak nie mówi Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej jak Teresa Budzisz-Krzyżanowska! Albo Gustaw Holoubek mówiący Beniowskiego. Tego się nigdzie nie usłyszy i nigdzie nie zobaczy.

Gdybym mogła, robiłabym tutaj co tydzień jakieś spektakle, gdybym tylko miała na to publiczność, bo

wydaje mi się, że czas tak prędko mija. Tak strasznie jest mi żal, że jeszcze tylu wspaniałych artystów nie było, a ciągle ich ubywa, bo jeżeli pomyśleć, że jeszcze mieliśmy szczęście mieć u siebie i Ryszardę Hanin, i Tadeusza Łomnickiego, i profesora Aleksandra Bardiniego, i Stefana Kisielewskiego, że oni jeszcze zdążyli być! Ja to tu rzucam jako pomysł, może ten pomysł ktoś podchwyci...

Ideę otwarcia kawiarni na popisy recitalowe artystów sceny polskiej darowałabym natychmiast każdemu, kto zechciałby się tym zająć. Myślę, że może Kraków by to najprędzej podchwycił. Krakowskie benefisy w Teatrze Stu są czymś wyjątkowym i wspaniałym. Mogę powiedzieć, że ja się w nich wręcz zakochałam... Pierwszy raz byłam na popisie mistrzowskim Zbyszka Zapasiewicza... I atmosfera, i ludzie, cały ten wysiłek uczczenia czyjejś twórczości właśnie w ten sposób jest dla publiczności czymś zupełnie niezwykłym.

Krzysztof Jasiński ma na to swój pomysł i robi to doskonale, ma się wrażenie, że jest on człowiekiem, który potrafi wszystko. Jest i wielkim artystą i równocześnie dobrym menadżerem. Ale może to też być zajęciem niewdzięcznym. Trzeba mieć dużą wytrzymałość psychiczną. Człowiek musi wytworzyć sobie grubą skorupę ochronną. Bo krytyka - ta negatywna, nieżyczliwa, której niestety nie brakuje - powoduje, że ubywa substancji potrzebnej do przeprowadzenia w spokoju i do końca takiego trudnego zamysłu.

Ale myślę, że ja już w tej chwli, po dziesięciu latach, na tyle okrzepłam, że sobie z tym radzę. Zresztą ja naprawdę i na pewno wiem, czego chcę. Tu uzyskałam bardzo wiele "ze względu na kolor zboża", jak mówi mały książę. I wydaje mi się, że jestem na ten temat już wyciszona. Jestem przekonana o tym, że to co robię, właśnie tak trzeba robić, albo że, lepiej powiedziawszy, po prostu inaczej nie umiem. Przyznaję, bywam czasem nieznośna, ale rozwinęłam pewne cechy charakteru w sobie, które są w takiej sytuacji konieczne. A więc przede wszystkim perfekcjonizm, o którym wiem, że dla otoczenia jest męczący... Oraz upór, ośli, nieustępliwy upór: założyłam sobie, że tego dokonam, i wiem, że tak będzie. To nie są przyjemne cechy dla otoczenia. W związku z tym wiem, że ciężko by mi było znaleźć współpracownika. Ale też dlatego nie skarżę się. Bo ta praca bywa i wyczerpująca, i żmudna.

Jedyny człowiek, który naprawdę może ze mną współpracować, to jest mój mąż, który mi szalenie pomaga. Uwe naprawdę mi pomaga. I w pisaniu tekstów po polsku w komputerze, a jakże, i we wszystkim innym. A ja się spokojnie mogę skupić na swoim zajęciu. W języku niemieckim jestem zmuszona do mobilizowania się, do wyrażania myśli w sposób możliwie zwięzły, co dla tekstu jest bardzo korzystne. Po polsku pozwalam sobie mówić barwnie i bujnie, bardzo często się w tej ojczyźnie-polszczyźnie zapędzam i mówię czasami nie to, co powinnam powiedzieć.

Może to się bierze z faktu "milczenia po polsku". Natomiast gdy dyskutuję z Uwe na temat konfliktowych sytuacji i wyrażam myśl spokojnie, zwięźle, to myśl ta dociera do niego i Uwe daje mi wtedy odpowiednio jasną odpowiedź, i bardzo dużo dobrych wskazówek, z których staram się korzystać. W ciągu tych dziesięciu lat, żeby może podsumować, intensywność, z jaką się ten Klub rozwijał, jak z czasem okrzepł, jak "się polubił", przeszła moje oczekiwania.

Zaczynając to 6 grudnia '86 roku naprawdę nie wyobrażałam sobie, że - to nie jest żadna kokieteria - że dotrwam do jubileuszu dziesięciolecia. Jest to jubileusz ludzi, nas wszystkich, Polaków żyjących w Szwajcarii. Ludzi tak oddanych kulturze polskiej, jak mało kto. Jak to profesor Bardini powiedział na zakończenie wizyty w naszym Klubie? "I teraz wiem, dlaczego rozstaję się z Wami tak smutny i czego mi będzie najbardziej brak, gdy wrócę do Warszawy: Waszych twarzy na jej ulicach".

Myślę, że to była wielka nobilitacja - te jego słowa. Wszyscy to podkreślają, prof. Woźniakowski też to powiedział: "Ludzi tak słuchających, ludzi zadających tak ciekawe pytania, tak przygotowanych do rozmowy, spotyka się dzisiaj rzadko, to się naprawdę rzadko zdarza. Świadczy to o pewnym zdrowym snobizmie, który powoduje, że uczestnicy spotkań Klubu naprawdę się interesują, rozwinęli w sobie

takie poczucie, że nawet nie wypada przyjechać na spotkanie i nie być przygotowanym. Jeżeli czegoś nie wiedzą, dopytują się, dzwonią..."

Mnie to podbudowuje, cieszy. Ludzi tak słuchających przyjemnie się spotyka, twierdzą zgodnie goście Klubu.

* *

A w nr 2 "Naszej Gazetki" z marca-kwietnia 1997 podsumowywałam 10-lecie Klubu Miłośników Żywego Słowa "Literacki Klub O'Clock" i 7-lecie polskiej Małej Sceny w Kornhaus-Theater w Baden artykułem

DUŻE BRAWA DLA BASI MŁYNARSKIEJ

Obchody 10-lecia klubu "Literacki Five O'Clock", które miały miejsce 1 grudnia '96, zaszczyli swą obecnością: Magdalena Zawadzka i Gustaw Holoubek, Halina Kunicka i Lucjan Kydryński, Beata Ścibakówna i Jan Englert - trzy artystyczne pary małżeńskie, a wraz z nimi Wojciech Młynarski oraz przy fortepianie Jerzy Derfel. Koncert jubileuszowy zatytułowany był "Ballady i romanse".

Na 7-lecie Małej Sceny w Kornhaus przyjechali: Alicja Majewska, Anna Pietrzak (piosenkarka wywodząca się ze znanego kiedyś zespołu "Partita" przybyła w zastępstwie zapowiedzianej Haliny Frąckowiak, którą grypa zatrzymała w domu), Zbigniew Wodecki i - jako akompaniator - Włodzimierz Korcz. Ich świąteczno-rodzinny koncert nosił tytuł "Gwiazdo świeć, kolędo leć..."

Oba koncerty były rewelacyjne, ale tego nawet nie ma potrzeby pisać, nazwiska same mówią za siebie. Zresztą czy są to klubowe, czy teatralne spotkania z kulturą polską proponowane przez Basię Młynarską, poziom ich jest zawsze najwyższy, o czym uczestnicy tych wydarzeń wiedzą najlepiej. Dlatego słowa pochwalne zostawię sobie na koniec. Natomiast przy okazji tak już poważnych jubileuszów chcę się zatrzymać na potrzebie kontaktów Polaków zamieszkałych poza granicami Polski z polską kulturą jako wyrazu pielęgnacji tożsamości polskiej gdziekolwiek by się nie mieszkało.

Jest taka mała książeczka autorstwa Adalberta Chamisso pt.: "Przedziwna historia Piotra Schlemihla", o człowieku, który sprzedał swój cień. Drogo sprzedał, choć przecież cóż to takiego - cień? Każdy go ma, jest po prostu. Więc niby dlaczego taka wysoka cena? A jednak ów Piotr Schlemihl, któremu się ta przedziwna historia przydarzyła, szybko się przekonał, jak bardzo trudno żyje się wśród ludzi, którzy całkiem zwyczajnie, bezwiednie wręcz, mają swoje cienie... Zawsze, gdy sięgam po tę książkę - a wracam do niej dość często - myślę sobie, że to trochę tak, jak żyć na emigracji.

Bo choć za emigrantkę się nie uważam, to jednak życie poza ojczyzną jest losem emigranta. Każdy, kogo podobny los doświadczył, musi się ze mną zgodzić: ma to swoje dobre i swoje złe strony. Dobre - wiadomo, jest ich niemało, a już szczególnie, gdy się miało szczęście wywędrować do Szwajcarii. Złe - to jak żyć bez cienia? Polecam tę lekturę czytelnikom niniejszego artykułu. To zapewne nie przypadek, że autor wpadł na taki dziwny pomysł i pozbawił swojego bohatera cienia: Lotaryńczyk urodzony we Francji, większość życia spędził w Berlinie. Gdy żyje się w zbiorowisku ludzi, którzy w sposób zupełnie oczywisty zanurzeni są we własnej kulturze, a samemu jest się spoza - to tak, jakby się nie miało własnego cienia.

Oczywiście, że znalezienie się w obcej kulturze jest szalenie wzbogacające. Już samo nauczenie się obcego języka i swobodne władanie nim na co dzień poszerza horyzonty. A czytanie książek, gazet, oglądanie telewizji, chodzenie do teatru, do kina - to tak, jakby się miało w jednym życiu szansę na dwa życiorysy. Ale jak bardzo, jak ogromnie trudno jest żyć bez tego codziennego, zwykłego kontaktu z własną kulturą, o tym wie się dopiero wtedy, gdy się tego nie zaznaje. Każdy Polak zna słowa Mickiewicza: *Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie, ile cię*

trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił..., ale tylko ci naprawdę rozumieją ich sens, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, jak ich autor. Życie na emigracji jest właśnie taką "przedziwną historią" z tych, które przydarzają się niektórym.

Jedna strona medalu, to los sam z siebie piszący najniezwyklejsze scenariusze. Druga: to własna, niewymuszona działalność, a raczej aktywne przeciwdziałanie losowi. Niektórym się chce! Pewna znana mi osoba powiedziała niedawno: *A któż to taki Basia Młynarska? Artyści polscy na każdą możliwość wyjazdu do Polonii na Zachodzie reagowali chętnie, bo im się nie bardzo powodziło, a tu taka fucha! Basia, nie Basia, na każde zaproszenie by przyjechali... a Basia żyła w bolesnej świadomości braku sceny, ona, aktorka z wykształcenia, więc stworzyła sobie sama teatr, aktorów i publiczność.*

Wszystko to może i prawda, ale iluż to ludzi biernie godzi się na pewne niedostatki i niewygody nic nie robiąc, a Basi jednej chciało się coś przedsięwziąć, zorganizować i to przez tyle lat! Miała możliwości i wykorzystała je ku pożytkowi wszystkich. Niewątpliwie robiła to także dla siebie, jakaż to niebywała satysfakcja zapowiedzieć Ryszardę Hanin, Annę Polony, Andrzeja Łapickiego czy Ryszarda Kapuścińskiego, pewnie, że bije od nich blask, w którym przyjemnie jest się skąpać, ale stworzyła tym samym dla nas, Polaków bez Polski, możliwość rozwoju we własnej kulturze. Możliwość wglądu na bieżąco w to, co polska kultura ma do zaproponowania najlepszego. Oczywiście, że tylko od święta, ale z tym większym uniesieniem brało się w tych wszystkich spotkaniach udział.

10-lecie Klubu i 7-lecie Teatru prowadzonych przez Barbarę Młynarską (a była to kontynuacja jej poprzednich działalności w ramach działalności Domu Polskiego w Zurichu), to lata, w których my, uczestnicy tych wydarzeń, robiliśmy postępy w rozwoju w naszej własnej kulturze, w naszym ojczystym języku. *Komfort niczego w życiu nie załatwia. Żadnych rozstrzygnięć nie daje. Zawsze, cokolwiek się robi, pozostaje ten sam problem, jaki sens nadać naszemu życiu,* mówi Krzysztof Zanussi. I ma rację! Czy można nadać sens swojemu życiu odcinając się od korzeni?

Gombrowicz żył 22 lata na drugim końcu świata, a pisał po polsku. Autor "Szkiców piórkiem", Andrzej Bobkowski, ciskał się na Polaków i pewnie czasami słusznie, ale nie mógł żyć bez pisania po polsku. Pisząc dzienniki, sam ze sobą rozmawiał w języku, który był mu najbliższy. Czesław Miłosz zdobył dla Polski Nobla pisząc w dalekiej Ameryce po polsku. Są wyjątki w rodzaju Conrada, ale to rzadkość.

Basia Młynarska stworzyła Klub Żywego Słowa, bo tak jak nam wszystkim i jej brakowało kontaktu z żywym, bogatym, wysmakowanym językiem polskim. I teraz, gdy czasy się zmieniły diametralnie, gdy możemy mieć telewizję polską w naszych szwajcarskich domach, włączamy odbiorniki i, proszę, nie ma takiego dnia, żeby nie było jakiegoś znajomego z Klubu. Czas więc na zapowiedziane na początku słowa pochwalne.

Basia ze swoim charakterem aktorki łaknącej sceny i oklasków zaprosiła nas na wykwintną ucztę, gdzie posmakowaliśmy dań najsmaczniejszych i dzięki jej za to. Bo i kogóż w Klubie nie było? Zainaugurował ten barwny korowód znakomitości polskiej kultury wybitny aktor filmowy i teatralny, Gustaw Holoubek. Jako pierwszy wpisał do klubowego sztambucha: *Niezmiernie wzruszony i zaszczycony uczestnictwem w inauguracji życzę członkom Klubu duchowych i intelektualnych pożytków z obcowania z polską sztuką, z kultywowania tradycji rodzinnego domu (6 grudnia '86).*

Profesor Gieysztor zostawił taka oto notatkę: *Na drzwiach pomarańczarni dziś napis "Heute geschlossene Gesellschaft", a tymczasem najbardziej otwarte na polskie słowo i polskie sprawy ducha i umysłu, a wszystko to - przez najszlachetniejsze emocje pani Barbary (8 maja '88).* Zmarły niedawno Andrzej Szczepkowski ułożył na poczekaniu fraszkę: *Prosto spod oka rodzimej ubecji gdzie? Oczywiście do Twojej Helwecji. Sam nie wiem dobrze co się ze mną dzieje... więc na twe łono me łzy z bazy leję (3 grudnia '88).*

Zofia Kucówna napisała: "*Czyń swoje, a nie patrz końca*" - *przepisałam Ci cytat z Dzienników Marii Dąbrowskiej, które prezentowałam w Twojej Małej Rzeczpospolitej. Tak, Basiu, tam jest Polska, gdzie jest polski język, a Ty tę*

własną Polskę robisz tu uparcie, zawzięcie. Nadal czyń swoje - kochać Cię będą za to i ci, co tu mieszkają na ziemi czekoladą i mlekiem płynącej i ci, co tam, na tamtej ziemi pachnącej łąkami naszego dzieciństwa, na którym dzięki takim jak Ty, wojewodziankom, zawsze się odnajdujemy (25 września '90).

Irena Kwiatkowska wpisała: *Coś cudownego. Raj na ziemi - a Ty na czele anioł dobroci, gościnności i genialnej organizacji wewnątrz domu i... na zewnątrz w klubie literackim (24 kwietnia '94).* Wojciech Młynarski, wielokrotny gość Klubu, napisał między innymi: *Dla nas Polaków kultura żywa jest jak tlen. Bez niej nie istniejemy (24 kwietnia '94).* Stanisław Tym: *Świadomość przeszłości naszej nie zamazanej lecz utrwalonej w rozmowach, analizach, pytaniach i odpowiedziach - to Twoja wielka zasługa dla teraźniejszości i przyszłości (12 marca '95).*

Romuald Mieczkowski wpisał mickiewiczowskim językiem: *W tym gościnnym zakątku polskości i szczerości, gdzie mi było tak serowo, winogronowo i różowo od róż przekwitających nieśpiesznego powabu, z widokiem na gór łagodne przełęcze, w scenerii rozmów bliskich sercu, słów, jakie mogą znaczyć tak wiele - składam podziękowania znad Wilii i innych rzek litewskich gospodyni tej krainy (7 września '96).* Profesor Jacek Woźniakowski: *Ach, co to jest za klub! Naprawdę wspaniałe pytania, najmilsza atmosfera i poczucie rzeczywistej wspólnoty. Dziękuję z całego serca i oby tak dalej! (20 października '96).*

Edward Wende, gość Klubu 24 września '89, zauważył: *Żyjąc w tym kraju nie jesteśmy w pełni świadomi czym jest ciężar emigracji. Będąc tutaj, na miejscu, odczuwamy, jak zbawienną rzeczą dla Was i dla nas jest wzajemny, wzbogacający kontakt, których jednych i drugich uczy czegoś bardzo ważnego - że ojczyzna sięga daleko poza geograficzne granice. Jesteś Basiu jedną z tych osób, które te pomosty przerzucają i nie pozwalają wysychać życiodajnym źródłom.*

I tak dalej, i tak dalej, to już drugi opasły album-sztambuch się wypełnia, nie sposób wyliczyć tu wszystkich naszych niezwykłych gości. Więc "któż to taki Basia Młynarska?". To taka pani z Bazylei, która dała nam to, czego brak doskwiera na emigracji najbardziej i za to należą się jej wielkie, wielkie brawa.

* *
* * *

Dziś, od śmierci Tadeusza Wojnarskiego 7 sierpnia 1999 roku, "Naszą Gazetkę" z powodzeniem prowadzi jego imiennik Tadeusz Kilarski, wydarzenia Klubu i Teatru relacjonuje Basia Tschopp, od niedawna dołączyła do niej Izabela Burger. I oto piosenka-parafraza tekstu autorstwa Wojciecha Młynarskiego "Po co babcię denerwować" z muzyką Franciszki Leszczyńskiej ***spod pióra Izy*** na 30-lecie Klubu.

Po co Basię denerwować

Koci-łapci, kici-kici, łubu-łubu-dubu
Niech nam żyją miłośnicy i prezeska Klubu!
Że się wszystko w kupie trzyma, w głowie się nie mieści,
Miało trwać lat pięć najwyżej, a trwa już trzydzieści.
Lecz dokładnie informować Basi nikt nie spieszy
Po co Basię denerwować, niech się Basia cieszy!

Chociaż zrazu perspektywa była wręcz ponura,
Miał być bigos z polską wódką, a wyszła kultura.
Najpierw w młynie, potem w kinie, z małą ludzi garstką,
Lecz do tego, koci-łapci, trzeba być Młynarską!
Że szczerością ponad miarę zaś dziś nikt nie grzeszy...
Po co Basię denerwować, niech się Basia cieszy!

Słowa Basi nie piśniemy, sekret to poniekąd,
Miało być lat pięć najwyżej, a będzie pięćdziesiąt!
Niech Ci nigdy nie zabraknie sił, Basiu kochana,
Niepotrzebna nam w Szwajcarii żadna dobra zmiana,
Głośno tego nie powiemy, żeby nie zapeszyć,
Po co Basię denerwować, niech się Basia cieszy!...